



Wywiad - Robert Kasprzycki

Witam serdecznie krakowskiego artystę...

Witam ślicznie tak zwanego olsztyńskiego dziennikarza, bo ja też jestem taki krakowski, jak kolega jest olsztyński...

Jaki jest światopogląd Roberta Kasprzyckiego?

To trudne pytanie, ponieważ jest on płynny i oparty na sprzecznościach - zmienia się ze względu na to, jak świat się zmienia. Kiedy byłem młodszy, byłem bardziej delikatno-wrażliwy, teraz natomiast jestem ostrożno-cyniczny. Generalnie rządzi mną tak zwany sceptycyzm wobec wszelkich ideologii oraz mód. Staram się zachować gdzieś w głębi dziecięcą naiwność oraz postrzeganie świata jako czegoś, co powinno być uporządkowane. I tyle chyba... To wszystko, co wpływa na kogoś, kto jest naiwny i niewinny w swym cynizmie określa jego światopogląd i światopodgląd...

Robert Kasprzycki to bard, czy może raczej showman, o czym świadczyć może Twój dzisiejszy występ na olsztyńskich juwenaliach - bardzo energiczny. Wykonałeś tu kilka utworów zapożyczonych, które znała studencka publika. Kilka dziewcząt roztańczyło nam się nawet tutaj pod sceną...

Ja od zawsze wykonuję również utwory, które są nie moje. Bycie bardem stricte nigdy mnie nie kręciło. Wolalbym być bardem rockowym. Wydaje mi się, że jestem o tyle osobny i szeroki (fizycznie i mentalnie), że potrafię zawrzeć rozmaite rzeczy w sobie: i taką - rzekłbym - delikatność bardowską i przemyślaną wersję liryki, a zarazem wersję niemęczenia sobą ludzi. W momencie kiedy ludzie oczekują albo chcą być pobudzeni, lubię ich pobudzać, ponieważ wtedy są gotowi na przyjmowanie innych treści. Wydaje mi się, że najgorszą wersją działania jest nuda. To znaczy, gdy jest się tak zwanym poważnym bardem i startuje się z perspektywy tak zwanego „Jacka Kaczmarskiego silnia”, no to można być tylko śmiesznym. Wydaje mi się, że trzeba postrzegać siebie w wariacie umownym. To oczywiście jest samobójcze, ale myślę, że ludzie ogólnie potrzebują dialogu, a nie bardowskiego pouczenia. Nie mam w sobie tego genu pouczenia za wszelką cenę.

W takim razie czemu powinna służyć piosenka, o ile w ogóle powinna czemuś służyć?

Nawiązywaniu więzi między ludźmi, którzy nie radzą sobie ze światem - jeżeli ta piosenka jest pewnym nieopisanym wymiarem, czyli pomaga przetrwać nicość, która nas otacza. I czy jest ona bardowska, czy metalowa, czy wywodząca się z zespołu Tool, czy z chill out'u, to na jedno wychodzi. Chodzi o to, że muzyka i słowa powinny być komuś potrzebne w działaniu emocjonalnym. Wydaje mi się, że emocje są czynnikiem najsilniejszym, a to czy są one zawarte w słowach takich, czy innych, jest jakby osobną sprawą. Im jestem starszy, tym bardziej wydaje mi się, że ludzie są różni i różnych bodźców potrzebują. To, co ja robię, jest próbą docierania do różnych ludzi, z taką a nie inną częstotliwością bodźców, która jest mieszanką energii, wrażliwości, ironii, sarkazmu, czułości. I tak sobie - rzekłbym - eksperymentuję, jak mały Jasiu eksperymentator...

A skąd ta różnorodność Twoich koncertów? Zupełnie inaczej wygląda koncert Roberta Kasprzyckiego na „Zajeździe bardów”, inaczej zaś taki właśnie przy okazji święta żaków.

To wszystko określa przestrzeń. Jeżeli trafiam do przestrzeni, która jest płaska i jest zamknięta na przestrzeni - rzekłbym - kubaturowej stu metrów kwadratowych, to inaczej trafia się do publiczności. W momencie kiedy po koncercie zespołu parodiującego coś [taka sytuacja miała miejsce w trakcie olsztyńskich juwenaliów - koncert Roberta Kasprzyckiego poprzedzony był wątpliwej jakości występem grupy Stare Drobne Małże nieudolnie parodiującej, czy też próbującej naśladować czołowe postaci piosenki literackiej śpiewając utwory m.in. grupy Stare Dobre Małżeństwo, Raz Dwa Trzy i Czesława Niemena] trafiasz na publiczność, która jest lekko pobudzona i siedzi w sali, która ma wygląd sali wykładowej, żeby przebić ten element sali wykładowej trzeba z tym powalczyć. Jeżeli gram sam w małej sali, mogę pozwolić sobie na kameralność. Natomiast w momencie, kiedy wyskakuję na salę wykładową, która mieści pięćset osób, to trudno o tę kameralność. Także ja jestem dosyć inteligentnym twórcą pod tym względem - dostosowuję się do warunków, w których przychodzi mi grać. Nie mam ambicji prezentowania ciemniejszej strony siebie w momencie, kiedy po pierwsze - nie trafia ona do nikogo, a po drugie - to, że nie trafia, rozbija i mnie. Więc staram się oszczędzić siebie i wykonać pewną formę urozmaiconego działania, które z jednej strony jest radosne i jestem wtedy showmanem, a z drugiej strony - ma w sobie wymiar lekkiego pobudzenia myślowego. Sądzę, że na tym polega szukanie publiczności, w sensie tego, że czuje się ją, jeśli chodzi o kontekst. Nie można grać lirycznie na stadionie - te czasy już minęły. Oczywiście żał mi tego i wspominam, jak na Nou Camp w 1976 roku Llach śpiewał „Mury”, grał bardowski koncert przy samej gitarze a wszyscy płakali i śpiewali z nim. To nie powtórzy już się nigdy. To kwestia tego, że jesteśmy w innym miejscu i innym czasie. Staram się docierać do ludzi pomiędzy działaniami satyryczno-humorystycznymi przez typ poczucia humoru oraz narrację.

Jak wspominasz swoją przygodę z największymi imprezami piosenki literackiej: Studenckim Festiwałem Piosenki w Krakowie oraz Ogólnopolskimi Spotkaniami Zamkowymi w Olsztynie? Obie te imprezy wygrałeś...

Straszne określenie - magicznie - nasuwa mi się, ponieważ wtedy byłem jeszcze chłopcem, który myślał o tym wszystkim w kategoriach mitów. Ci ludzie wydawali mi się, jak herosi albo jakieś postaci z Tolkiena - heroiczne, dalekie, odległe, nieludzkie. I moja obecność w tym wszystkim była taka dosyć umowna - pojawiłem się na Studenckim Festiwalu w Krakowie i największym szczęściem było dla mnie to, że mogłem uczestniczyć w imprezach towarzyszących. Udział w konkursie był jedynie dodatkiem. Podobnie było z Olsztynem. Rok po Festiwalu krakowskim przyjechałem tu dzięki tak zwanej protekcji festiwalowej, bez eliminacji. Wciąż pisałem nowe piosenki i szukałem miejsc, w których mógłbym je zaprezentować. Wydaje mi się, że wygrałem i tu i tu, ponieważ byłem dosyć zdolnym chłopcem, który nie grał wszędzie tych samych utworów, a po drugie starałem się chodzić po opłotkach, czyli szukać czegoś, co jest tekstowo dosyć rozsądne. W tych wszystkich konkursach nawet nie chodzi o warsztatową stronę, tylko o moc tego, co przez nas mówi. Ponieważ ja mam czasem to szczęście, że mówią przeze mnie dobre duchy i jak pojawiałem się na jakimś konkursie, pozwalałem im gadać, one wygrywały je dla mnie. Nie mam dzięki tym sukcesom spazmatycznego skurczu w brzuchu, że jestem fantastyczny i wspaniały, natomiast lubię te miejsca za to, że zawsze grupowały i będą grupować ludzi, którzy są off, czyli poza obiegiem i poza ogólnym chłtaniem, który żywi się mięsem, radością i głupawą - blichtrowaną, beznamyślną i bezmyślną papierowością świata. To są inne festiwale i bardziej cieszyło mnie to, że na nich w ogóle grałem, niż, że je wygrałem...

Dlaczego zdecydowałeś się wybrać tak zwaną „drogę kariery”?

Ach ta moja autoironia... To była prosta piłka. Na studiach, byłem tak zwaną gwiazdką swojego roku, która już na trzecim roku prowadziła zajęcia ze swoimi kolegami. Byłem obiecującym asystentem, to znaczy miałem szansę nim zostać. Jednak w roku, w którym kończyłem studia nie było miejsc na teorię literatury w dydaktyce i musiałbym kolejny rok lub dwa poczekać, żeby ewentualnie owym asystentem na uczelni się stać. Więc pomyślałem, że mogę to przeczekać. Tylko, że w tym czasie, kiedy mijają te dwa lata (od 1994 do 1996 r.) zacząłem na tyle dużo grać i bawić się w siebie jako wykonawcę, który przywiązał się do swoich piosenek i siebie jako piosenkarza, że nie bardzo pociągała mnie już kwestia stricte naukowa, która jest mętna i wymaga kłaniania się ludziom, którym ja nie chcę się kłaniać. Piosenki pojawiły się jako alternatywa w momencie, kiedy zaczęły być chciane i słuchane. Pojawiły się koncerty, jakieś nagrania. Tak naprawdę woląłem zaryzykować, niż być grzecznym prowadzącym zajęcia i spróbować jakby od tej strony uczyć ludzi - przez teksty, które wymagają przełamania podejścia na zasadzie: bawmy się i cieszymy. Oczywiście

mógłbym to ubarwić taką piękną anegdotką, kiedy to mój dzielny tatko, który się w ogóle nie interesował moimi studiami, pewnego razu, gdy już je ukończyłem, stwierdził, że powinienem wziąć się do jakiejś roboty, znaleźć jakąś pracę... Bla, bla, bla... Bełkotał tak przez dwa dni, bełkotał i trzeciego. Siedziałem już troszeczkę zdotowany, ponieważ mój ojciec się w ogóle nie wyłączał na ten temat, mówiąc brzydtko: pieprzył i bredził, żebym zrobił coś ze swoim życiem. Odpowiedziałem mu: „Tato, wiesz, ja chciałbym pisać piosenki. No kurwa. Wydaje mi się, że jestem w tym dobry.” Rozmowa trwała ze dwie godziny, po czym zadzwonił telefon, który odebrał ojciec. Szczeka opadła mu na klatkę piersiową i rzekł do mnie: „Maryla Rodowicz do Ciebie!”. To był taki moment, kiedy z Marylą Rodowicz pisaliśmy piosenki na jej płytę. Nic z tego oczywiście nie wyszło, natomiast fajne było to, że do mojego dzielnego ojca, który był fanem Maryli Rodowicz, zadzwoniła pewnego razu właśnie ona i przerwała mu jego monolog na temat tego, jakim nieudacznikiem jest jego syn, ponieważ zamiast szukać roboty, myśli, że będzie śpiewał piosenki. To na pewno jest droga trudniejsza, ale warto nią iść. Ten typ show biznesu, który uprawiam - niewymagający wpychania sobie w tak zwaną dupę strusich piór, ale polegający na opieraniu się na relacjach między mną a ludźmi - jest trudny, ale ja wolę uczyć się rzeczy trudnych, niż iść na łatwiznę...

Odbiegając na chwilę od piosenek, chciałbym zapytać o Roberta Kasprzyckiego - poetę. Do swego ostatniego muzycznego wydawnictwa nazwanego „Piosenki i nie” dołączyłeś tomik swych wierszy. Skąd ten pomysł?

Moim debiutem literackim były tłumaczenia z łaciny. Gdy byłem na trzecim roku studiów wystartowałem w konkursie im. Georga Trakla. Wygrał tam Marcin Świetlicki, drugie miejsce zajął teoretycznie Marcin Baran, a trzecie ja. Więc medium nazwijmy to „poezji bezśpiewanej” czy nieśpiewanej było w tym przypadku naturalnym, ponieważ dla mnie bogami są raczej poeci nieśpiewający niż śpiewający. I wydaje mi się, że czasami jestem na tyle dobry jako nieśpiewający poeta, że coś przekazuję również bez śpiewania. Tak więc oprócz piosenek, które ukazały się w tomie „Piosenki i nie”, jest na tych 130 tekstów, które napisałem około 50 wierszy, które mają sens. Chciałbym, aby to w jakiś sposób przetrwało i dotarło do ludzi, jako pewien sposób wypowiedzi. Zwykle oceniamy twórców według chronologii, czyli tego, co tworzy w danym momencie, a nie z perspektywy dzieł zebranych po śmierci autora. Chciałbym, żeby było to zamknięcie pewnego piętnastolecia, które polegało na tym, że od drugiego roku studiów pisałem coś i było to wierszowane i niewierszowane, rymowane i nierymowane, śpiewane i nieśpiewane... Może to się zamknąć w tomiku „Piosenki i nie”, czyli czymś co zawiera na pewno piosenki i coś, co piosenkami nie jest. Nie wiem, czy można nazwać to wierszami, ale są to na pewno formy, które określają świat językiem poetyckim, a niekoniecznie śpiewanym.

Z czego wynika twoja współpraca z grupą Carrantuohill?

Oni znaleźli mnie jako śpiewającego poetę, szukając rozmaitych dróg dotarcia do odbiorców. Są zespołem folkowym, stricte celtyckim. Był taki koncert, na który zaprosili Ewę Bem, Sławka Wierzcholskiego i mnie. No i sprawdziło im się to bardziej ze mną właśnie. Wtedy oprócz piosenki, którą razem śpiewaliśmy, czyli ballady „Fields of Athenry”, wykonaliśmy też razem „Molly Malone” i dziesięć innych utworów, które znam, ponieważ zawsze jakby siedziałem w muzyce folkowej, gdyż interesowałem się muzyką anglosaską - głównie, ze względu na to, że uczyłem się angielskiego na piosenkach - grania, śpiewania i jakby estetyki pewnej. Na jakimś koncercie zagrałem z nimi osiem utworów i okazało się, że z tych ośmiu utworów cztery brzmią fajnie. Później rozwijało się to. Zegraliśmy już trzy razy na Przystanku Woodstock, nagraliśmy dwie płyty, graliśmy w rozmaitych programach telewizyjnych - ponieważ oni są fajnymi ludźmi, którzy mają fajne poczucie humoru i grają muzykę, która ich kręci a przede wszystkim są prawdziwi jako muzycy. Gdy spotyka się ludzi, którzy są nieszablonowi, nie są zblazowanymi fiutami (mówiąc brzydtko), co jest rzadkie w Polsce, to chce się z nimi być. Ponieważ nie mam oporów, gdy dzwoni do mnie na przykład Piotr Banach z zespołu Indios Bravos, którego poznałem - żeby było śmieszniej - przez Naszą Klasę, i proponuje mi wspólne zagranie na koncercie w Stodole „Nieba do wynajęcia” w wersji reggae oraz jakiegoś ich kawałka. Mnie jakby reggae na tyle nie kręci, że jest to muzyka murzyńska w jakimś sensie, natomiast jest muzyką szczerych ludzi, graną dla szczerych ludzi. Ja nienawidzę muzyki disco i techno, ponieważ ona jest wykonywana przez automat. W momencie kiedy Ci chłopcy-disco usiłują grać live, przeskakują w zupełnie inną funkcję muzyczną i naprawdę zaczynają być fajni, albo i nie fajni. A ja, ponieważ jestem zanurzony w muzyce folkowej od strony zwłaszcza takich ludzi jak Bob Dylan czy Pete Seeger, czyli folku z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, którego estetyka jest podobna do tego, co robi Carrantuohill, czuję się z nimi dobrze. Lubimy się jako ludzie, bywam u

nich na imprezach rodzinnych, grillach. Kiedy spotykasz fajnych ludzi, ten element muzyki, którą grasz jest jakby mało istotny. Bardziej chodzi o to, że rozumiesz się z nimi i lubisz ich za to, że to, co robią nie jest kłamstwem. Nie grają dla kasy. Nie lubię kalkulacji w poezji, ani w czymkolwiek innym. Nie lubię takich muzycznych działań, które są zbyt przemyślane. Przemyślenie sprawia, że to, co piszesz, co tworzysz jest martwe. To jest tak, jakbyś ożywił trupa - najpierw uśmiercił coś, o czym piszesz, a potem usiłował to ożywić na oczach ludzi, którzy mają to przeczytać. Jako wnikliwy czytacz wiem, że wielką sztuką jest być krytykiem literatury, natomiast ogół krytyków literatury to Frankensztajnowie dla ubogich i tak samo jest z ludźmi, którzy piszą muzykę, jako rzecz użytkową, w marny sposób...

Jesteś romantykiem?

Zbyt dużo wiem na temat romantyków, jako chłopczyzna od literatury, który się tym tematem parął, żeby ich lubić. Byli to zakłamaní, dziwni, porąbani ludzie. Ja raczej jestem sentymentalistą, w sensie postoświeceniowym. Raczej wolę sobie podumać i poznęcać się nad sobą. Natomiast romantyzm w sensie prawdziwym, czyli ludzi, którzy prokurowali sobie cierpienie, nie pociąga mnie, ponieważ w pewnym momencie swojego życia byłem mistrzem w romantyzmie krasińskowskim. Stowacki był narcyzem, Mickiewicz miał różne problemy, natomiast klasycznym romantykiem był Krasiński, który przeczytał wszystko, co warto było przeczytać o romantyzmie i starał się żyć w tym duchu. A ja staram się zaprzeczać temu wszystkiemu, ponieważ jest to dla mnie zbyt wysiłone. W momencie, kiedy życie dopieprza Ci w jakimś sensie, nie masz czasu na refleksje - czy jesteś romantykiem, czy nie. Jeżeli jesteś straceńcem, który działa według reguł naiwności oraz otwartości - być może jest to romantyzm. Natomiast ten romantyzm z „Dziadów” albo z „Ballad i romansów” nie bardzo mnie kręci, ponieważ jest wysiłony. Myślę, że jeżeli jestem romantykiem to dlatego, że tak wyszło, nie dlatego, że tak sobie wymyśliłem...

Co Cię inspiruje do pisania?

Piosenki zwykle biorą się z tego, że trafiasz na temat, który Cię gryzie i złości i starasz się go obśmiać albo opisać. Drugim wariantem jest tak zwane życie, które się zwykle stara odreagować przez pisanie. To jest kiepska droga tak naprawdę. Tak piszą kultowi poeci. Przez dwadzieścia lat jest to może i fajnie, potem już nie... Wydaje mi się, że moje pisanie bierze się z połączenia pamięci z wyobraźnią oraz gotowością do znęcania się nad nią. Ponieważ mam sporą łatwość pisania z różnych perspektyw: jako kobieta znękana albo mężczyzna opuszczony, czy też pobity przedszkolak, łączą się we mnie cechy czytanego polonisty, który zna techniki literackie oraz kogoś, kto kiedy już pisze, wystawia swój biedny tęt na rozmaite bodźce, które go motywują. Więc staram się znaleźć złoty środek między czytaniem, moją erudycją polonistyczną a czymś, co można nazwać czujęm znękanego chłopca z technikum, który nie planował zostać poetą, a miał pracować na zakładzie lub szlifować jakieś metalowe sztaby. Ponieważ ja dostałem się na polonistykę i jestem tym, kim jestem przypadkiem, wbrew woli moich rodziców, ten fuks, którymi się zdarzył, sprawia, że staram się szukać tak zwanego rzeczowego pisania. Mój romantyzm dociera do pewnych granic, natomiast nie staram się być czułościowym sentymentalnym przygłupem, który szykuje na siebie sytuacje mające go znękać. Raczej jestem cynicznym romantykiem i sceptycznym sentymentalistą, który wie, czym to grozi. Pod tym względem tematyka oraz bodźce, które sprawiają, że piszę, są dosyć ściśle segregowane przez mój smutny techniczny umysł.

Twoja pierwsza płyta „Niebo do wynajęcia” ukazała się w 1997 roku. Na kolejną („Światopodgląd”) przyszło nam czekać aż do roku 2006. „Piosenki i nie” ukazały się rok później. Co planujesz na najbliższą przyszłość?

Od 2006 roku, czyli od momentu kiedy wydałem sam tak naprawdę „Światopodgląd”, mam taki pomysł na siebie, że (mówiąc brzydko) mam gdzieś tak zwany show biznes. Opieram się na ludziach, którzy chcą kupić to, co robię, albo pójść na mój koncert. Kolejna płyta będzie nagrywana pewnie na przełomie tego i przyszłego roku. Jesienią ukaże się oficjalne wydanie „Piosenek i nie” - otwarte, empikowo-sklepowe. Do tej pory była to płyta wydana przez Radio Kraków w wariantcie - rzekłbym - giftowo-prezentowo-promocyjnym. Po wakacjach będzie to wydane w wersji normalnej, do kupienia w otwartej wersji promocyjnej oraz w Internecie. Będzie to płyta, jak już wspominałem, zamykająca pewien etap mojej twórczości. Natomiast jesienią i zimą będziemy pracowali nad kolejnym materiałem, który pewnie już wiosną będzie zmiksowany, a latem przyszłego roku powinien się ukazać. Będzie to płyta inna niż poprzednia - lżejsza, bardziej akustyczno-folkowo-

poetycka niż rockowa. Czyli będzie czymś, co muzycznie można określić jako krok wstecz - według ocen twardej rockandrollowej. Zrobię płytę, która będzie po prostu fajna. Przez ostatnie dziewięć lat napisałem dziesiątki piosenek. Obraz płyty jest kwestią filtrów, które włączasz. Jeśli chcę zrobić płytę dotującą, ciemną albo jasną, głupawą albo sceptyczną, włączam filtr i mam tych piosenek kilkanaście, pasujących do niego. To jest kwestia pogrania tych utworów w studio z kolegami i wymyślenia najlepszego uderzenia - czyli z pięciuset tekstów, które powstały wybrania trzydziestu, z tego piętnastu dobrych, potem dziesięciu bardzo dobrych - wybranych według moich smutnych kryteriów a ocenianych przez show biznes jako smutne piosenki, bez sensu, nieopowiadające o tym, że życie jest piękne... Od momentu, kiedy zdecydowałem się robić wszystko sam, uzyskałem wolność, o której nigdy nie marzyłem, której nie oczekiwałem. I kolejne płyty ukazywać będą się zapewne co dwa lata. Mam na to jakiś pomysł. Po trzydziestym piątym roku życia wymyśliłem sobie, że nie warto czekać na kogoś, kto gdzieś tam Cię odkryje, czy liczyć na to, że ludzie, którzy liczą tylko pieniądze albo słupki z nimi, będą myśleli o tym, że Twoje piosenki są lepsze albo gorsze. Pomimo iż trafiamy do małej ilości ludzi, trzeba mówić rzeczy ważne i mądre. I tak Cię nikt nie słucha... Ponieważ nikt Cię nie słucha - mów mądrze...

A kiedy ostatnio napisałeś piosenkę?

Dwa dni temu... A taką poważną piosenkę napisałem do spektaklu w szkole mojego syna. Była to piosenka do mojego wiersza - o smoku pasibrzuchu, który to smok źle się odżywił. Piosenka była heroiczna, zaśpiewana przez trzydzieścioro dzieci z pierwszej klasy. Miała dużą moc. Myślę, że Majka Jeżowska na samą myśl o niej zzieleniałaby z zazdrości...

Kasprzycki junior też będzie artystą?

Nie mam pojęcia. Mam nadzieję, że mój syn będzie szczęśliwym człowiekiem mającym nie obłąkanego ojca. Tego mu życzę...

Z Robertem Kasprzyckim rozmawiałem tuż po jego juwenaliowym koncercie w Olsztynie 18 maja 2008 roku.

Piotr Szauer